

Józef Baran

Spadając, patrząc w gwiazdy (9)

(fragmenty)



To mnie sparaliżowało, bo nie bardzo wiedziałam, czy tę rękę przesunąć z pleców na ramię, czy ją tam dalej trzymać... Prowadził w tańcu poprawnie, ale wyczuwałam, że jest usztywniony i że ten taniec to dla niego ważna sprawa. W rezultacie tańczyliśmy jak na lodzie i czułam się, jakbyśmy byli na parkiecie dwiema nakręconymi lalkami obracającymi się automatycznie w rytm melodii pozytywki. Wyczuwałam od niego miły, choć może zbyt intensywny zapach wody kolońskiej. Starałam się okazywać, że tańczy mi się z nim swobodnie, żeby broń Boże nie pomyślał, że to dla mnie jakiś ciężar. Tym bardziej że widziałam wcześniej, iż jedna z pań przy sąsiednim stoliku odmówiła mu, gdy się uklonił przed nią w pas, i potem w trakcie dansingu nieborak zbierał się cały czas na odwagę, żeby przełamać nieśmiałość i podejść do mnie. Czyniłam wszystko w tańcu tak, żeby szło nam jak najlepiej, co wymagało i ode mnie, i od niego dużego samozaparcia. Dłatego te trzy kawałki wydawały mi się najdłuższymi trwającymi tańcami w życiu, choć nie powiem, że niemiłymi. ...A dla niego... dla niego to był pewnie ważny test, istotna, a może nawet przełomowa chwila w życiu...

Wolność, brak wyboru...

Tym podobno różnimy się od zwierząt, że jesteśmy wolni w swoich wyborach, gdy tymczasem zwierzęta są spętane ślepym instynktem. Jednak przynajmniej dwa razy w życiu nie mamy wyboru: kiedy się rodzimy, bo inni za nas o tym decydują, i gdy musimy umierać, bo życie nie ma innego wyboru. Może jedynie przyspieszyć umieranie.

Będę się rozradzał

Ślub mojej młodszej córki Ewy z Adamem.

Ewa jest w ósmym miesiącu ciąży, bardzo dobrze się czuje. Za miesiąc będę podwójnym dziadkiem, bo ma się urodzić chłopak.

Nie wiedzą, że żyją

„Ilu ludzi wokół nas żyje, nawet nie czując, że żyje!?” (podsluchana w przychodni onkologicznej rozmowa dwóch kobiet czekających na badanie kontrolne po przebytej chorobie nowotworowej).

Pomyślałem, że poeci należą do tego dziwnego rodzaju ludzi, którzy swoim życiem pragną udowodnić, iż nie są tylko łańcuszkiem w ewolucyjnym łańcuchu reproduktorów życia, lecz nadzwyczajnym wybrykiem genów, ba, że istnieją specjalne, indywidualne powody, które każą wierzyć, iż warto było ich powoływać do życia!

* * *

Mimo wszystko listopad wyjątkowo łaskawy dla Polaków.

Nie chłasta ulewami. Nie chłoszcze wichurami.

Nie mroczy dusz jesiennymi manoriałami.

Można jakoś wytrzymać, tym bardziej że tuż-tuż za ścianką serca, choć za szali horyzontami prześwieca słońce.

Byłem na recitalu Milvy śpiewającej songi Brechta. Jest legendą nie tylko włoskiej piosenki, ma 65 lat i więcej gra niż śpiewa, podpierając się obrazkami antywojennymi na ekranie. W ogóle dziś wszędzie najważniejszą rolę ogywiają obrazki, czyli tak zwane pokazy multimedialne. Ale jej głos niekiedy przejmujący.

* * *

Wnuczek Jaś ma jutro w szpitalu Żeromskiego operację migdałków.

Ewa za tydzień powinna rodzić.

Przed południem w salonie poezji Anny Dymnej karkołomne popisy lingwistyczne Mirona Białoszewskiego w koncertowym wykonaniu Mariusza Benoit i aktorki Ewy Buhłak. Z tym wyborem wierszy miałbym ochotę podyskutować. Lubię Białoszewskiego, ale już użytecznego, przystosowanego i korzystającego z eksperymentów lingwistycznych, aby wyrazić coś więcej, a nie czyniącego z palcówek lingwistycznych cel sam w sobie. Wolę najwcześniejszego i późnego Mirona od tego z trzeciego i czwartego tomiku — szarżującego niczym byk na czerwonej płachtę na polską gramatykę i składnię.

Potem wybrałem się na mszę w kościele Mariackim. Przybosiowi wieża kojarzyła się ze storczykiem, mnie – nie wiem dlaczego – wewnątrz przypomina bogato przystrójonego złotolitą kapą wysmukłego konia srokacza.

Rozradzam się

29 listopada, w przeddzień andrzejek, przyszedł na świat nowy człowiek Kuba Kwaśny – mój trzeci wnuk. Ważył 3 kilo, poród trwał 4 godziny. Jego matka, a moja córka Ewa do ostatniej chwili jeździła autem.

W tym samym dniu w Borzęcinie po raz pierwszy w historii na scenie miejscowego Domu Kultury, dowodzonego przez niespożytego Piotrka Kanię, dziewczyny z lwowskiego kabaretu tańczyły kankana. I to niewiele gorzej od tych z Moulin Rouge.

Kankan w Borzęcinie?

Przecież to rewolucja obyczajowa!

Dalej nic nie widzę

– Nie wierzę w inną WIECZNOŚĆ niż ta, którą mogę pokazać ręką tam, za drzwiami, gdzie mieszka moja córka, wnuk, prawnuk... i to wszystko, co mogę powiedzieć na ten temat... choć staram się, jak mogę – wyznał mi pisarz Emil Biela.

...Czasem myślę podobnie. Trzy dni świąt Bożego Narodzenia w poszerzonym składzie rodzinnym, spędzone głównie przy kominku, w nowo wybudowanej twierdzy rodzinnej, bo tak określam w myślach piękny dom Aśki i Hansa w Mogilanach na rogatkach Krakowa. Pod choinką pojawiło się dzieciątko Kubuś – mój trzeci wnuk. Spadł córce Ewie i jej mężowi Adamowi z nieba, podobnie jak rzadki w tym roku śnieg, który stał się piękną naturalną dekoracją. Przewinęło się trochę ludzi, m.in. Adam Ziemianin z synem Kacprem i córka Halszką. Adam Kwaśny, nowy zięć, okazał się świetnym kucharzem.

Radość z wnuków: Jasia i Ninki, które są rozkosznymi szkrabami i najbardziej wysuniętą do przodu forpocztą życia, czyli moją MAŁĄ WIECZNOŚCIĄ – posługując się myślą Emila Bieli – jaką jestem w stanie tu na Ziemi sobie wyobrazić. Z wyobrażeniem sobie innej abstrakcyjnej WIECZNOŚCI też mięsam pewne kłopoty, choć przy słuchaniu IX Symfonii Beethovena w koncertowym wykonaniu orkiestry dyrygowanej przez von Karajana (oglądanej/słuchanej na wideo) można w nią na chwilę uwierzyć...

Dom ogromny, nie na moją miarę, ale wspaniale nadający się do zaludniania go ludźmi.

Zatrzymać ten czas!

cdn.